

Niemieckie dyskusje

Pewnej lipcowej niedzieli, równo w miesiąc po moim przybyciu do NRD, jechaliśmy kilkoma samochodami z Dreźnie do Bad Schandau i dalej w głąb Saksonii Szwajcarii aż do czeskiej granicy. Niestety fantastycznie spiętrzone skały po obu stronach drogi gineły w ulewnej deszczu i mgie, tak że zapomniałszy niemal o niewidzialnym krajobrazie, przesuwałem się za mokrymi szybami, wdalem się w długą rozmowę z pewnym młodym szwedz kim dziennikarzem, który siedział obok mnie

Oczyrna Szweda
Szwed, redaktor działu kulturalnego konserwatywnej „Svenska Dagbladet“ był jesz-

Muszę się przyznać, że jeżeli chodzi o naukowe wyniki obrad weimarskich, to trochę mnie one rozczarowały, jakoś nie wzbogaciły w istotny sposób mego obrazu Goethego. Może sprawiła to liczna przewaga zachodnio-niemieckich referentów i dyskutantów, ujmujących twórczość poety z punktu widzenia nauki idealistycznej, może było na sali zbyt mało wybitnych badaczy-marksistów — dosyć, że całość wydała mi się raczej świetnie podana i uzupełniona rekapiitulacją różnych dzieł ongiś czytanych, dzieł w których autor „Fausta“ jawił się jako kanonizowany Olimpizyk, uszający się niby Bóg Oj-

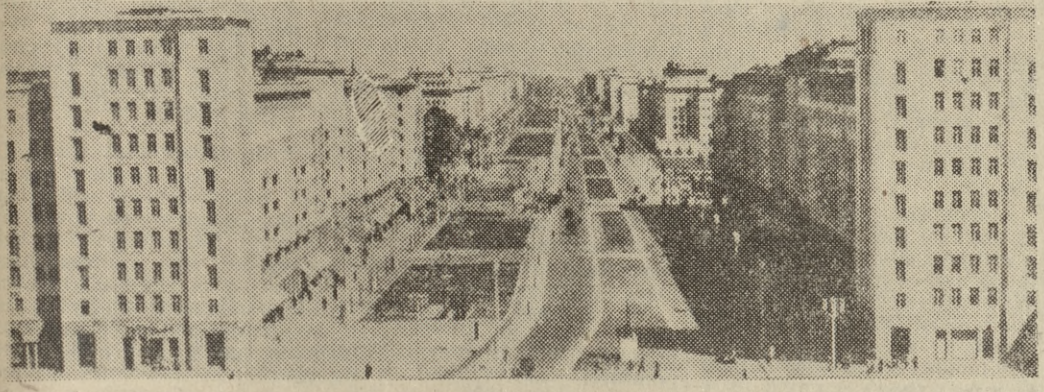
moich berlińskich znajomych przedstawił mnie bardzo sympatycznemu starszemu panu. Był to prof. Erich Trunz z Münster, który przygotowuje nowe zachodnio-niemieckie wydanie dzieł Goethego. I cóż się okazało? Wydanie to, bardzo pięknie pomyślane, będzie miało najwyżej 5000 egz. nakładu, bo szkoda o tym marzyć, żeby się więcej rozeszło. Gdy w związku z tym opowiedziałem o naszych planach wydawniczych dotyczących Goethego, o tegorocznym czterotomowym wyborze i czternastotomowej edycji, nad którą się już pracuje, gdy wspominałem, że ostatnie polskie publikacje „Fausta“, „Cier-

pień młodego Werthera“ i „Lisa Przechery“ zostały szybko rozkupione przy nakładzie po 10 000 egz. — profesor otworzył szeroko oczy. Po prostu nie mógł wyjść ze zdumienia, które pogłębiły jeszcze przytoczone przeze mnie liczby, ilustrujące rozwój innych dziedzin naszego życia kulturalnego. „Tak, tak — westchnął gdy zadzwieczał dzwonek — my o sobie nawzajem wiemy skandalicznie mało. Dzisiejsza Polska to w pojęciu większości zachodnio-niemieckich obywateli krajina niemal bardziej odległa niż Afryka czy Madagaskar. Jak to dobrze, że mogliśmy sobie porozmawiać. Zawsze mówili: spotykamy się częściej, nawiązamy osobiste kontakty, a nikt nie będzie już mógł żerować na naszej niewiedzy. Bo ludzie niewiedzących jest u nas na zachodzie znacznie więcej, niż ludzi zleż woli — o tym pan może być przekonany“.

Słowo, które łączy
O ile w Weimarze kulturalne rozmowy i spostrzeżenia były wprawdzie ciekawsze od samych obrad, o tyle drugie ogólnoniemieckie spotkanie, w którym jako gość uczestniczyłem,



Pisarze niemieccy utrzymują bliski kontakt ze swymi czytelnikami. Szczególnie autorzy książek dla młodzieży są częstymi gośćmi obozów pionierskich. Na zdjęciu Hans Joachim Hartung czyta swoje utwory pionierom. Fot. CAF



Tak wygląda nowy Berlin, niemiecka MDM. Jest to aleja Stalina. Fot. CAF

cze pod wrażeniem wielkiego ogólnoniemieckiego kongresu ewangelików w Lipsku, gdzie na zamknięcie uroczystości minister kultury NRD, wybitny pisarz Johannes R. Becher, przeprowadził jedną w swoim rodzaju publiczną dyskusję z uczestnikami zjazdu. W sali wypełnionej po brzegi ludźmi z tej i z tamtej strony Łaby padały najróżniejsze, niekiedy wielce podchwytliwe lub wręcz prowokacyjne pytania, minister zaś odpowiadał na nie tak spokojnie i cierpliwie, z taką siłą argumentacji, że w końcu całe niemal audytorium biło brawo. Fakt ten mojego Szweda głęboko zastanowił.

— Wie pan — powiedział — jednego tu w NRD nie mogę zrozumieć, niejedno wydaje mi się osobliwe, szczególnie gdy się na to patrzy oczyma skandy-nawskimi, ale dwie rzeczy napawają mnie podziwem: sposób w jaki się tu popiera kultura i to w najszerszym tego słowa znaczeniu i wytrwałość z jaką się pracuje nad zbliżeniem między Niemcami ze Wschodu i Zachodu. W Niemczech zachodnich, gdzie również nas Szwedów przeraża odżyznianie szowinizmu, gdzie wokół Blanka i jemu podobnych zbiera się ciemna zgraja militarystów, sama chęć podjęcia rozmowy z ludźmi na wschód od Łaby może narazić człowieka na nieprzyjemności. Taka swobodna dyskusja jak w Lipsku byłaby tam nie do pomyslenia.

W mieście Goethego
Osobiście nie byłem niestety na lipskim kongresie, ale za to uczestniczyłem podczas mego pobytu w NRD w dwóch innych ogólnoniemieckich zjazdach, dla mnie szczególnie ciekawych, bo dotyczących spraw literatury. Jeden z nich, pierwsze od lat 15 walne zebranie Towarzystwa im. Goethego, ścigał do Weimaru 450 osób, z których 300 przybyło z Niemiec zachodnich. Warto tu podkreślić, że Towarzystwo to, założone w roku 1885, liczące dziś 2600 członków, mieszkających w różnych zakątkach kraju i za granicą, szczególnie w Austrii i Szwajcarii, byłoby się już dawno pod naciskiem pewnych „działaczy“ bońskich rozpadło na dwie części, gdyby nie uparte wysiłki Związku Kulturalnego Demokratycznego Odrodzenia Niemiec oraz nieugięte stanowisko przewodniczącego Towarzystwa zachodnio-berlińskiego prof. Wachsmutha.

ciec w ponadczasowej i niemal ponadludzkiej przestrzeni Ale zastrzeżenia te były w tym wypadku mniej istotne. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zjazd miał i tak duże znaczenie. Już przez sam fakt, że się odbył, że zebrał tylu naukowców i miłośników Goethego z całego kraju, którzy zgodnie i żywiołowo klaskali, gdy tylko padały słowa „jedność“, „jedność niemieckiej kultury“ itp.

Goście zza Łaby w ogóle zabaczyli w Weimarze niejedno, co musiało ich zastanowić. Wiem na przykład, że wielu z nich bardzo mile zdziwił widoczny na każdym kroku pietyzm z jakim pielęgnuje się w NRD dziedzictwo kulturalne, oba o zabytki (np. pięknie doprowadzony do dawnego stanu dom Goethego, częściowo zniszczony podczas amerykańskiego nalotu), popularyzacja sztuki i nauki. A zresztą, co tu mówić o sztuce i nauce, skoro dla niektórych zachodnio-niemieckich uczestników nawet proste przejście się po weimarskiej ulicy, schludnej i ładnej, ze sklepami doskonale zaopatrzonymi w towary, z restauracjami i napoi było dostateczną rewelacją. „Pan nie ma pojęcia — powiedział do mnie stary Studenrat Balser z Heidelbergu — jakie fantastyczne plotki, jakie niesłychane historie na temat stosunków i warunków życia w NRD wypisuje, z nie licznymi wyjątkami, zachodnia prasa. Już dawno chciałem tu przyjechać i rozejrzeć się, lecz odgad straciłem wiarę w amerykańsko-bońską politykę i zacząłem występować za jednością i pokojem, nie mogłem ani rusz otrzymać zezwolenia. Mimo że nie byłem, nie jestem i nie będę komunistą, a tylko z przerażeniem i odrzą patrzę na hitlerowców i militarystów, hasających znów beczelnie i bezkarnie po nieszczęsnej Republice Związkowej“.

Zdumienie profesora z Munster

Na zakończenie zjazdu odbyło się w weimarskim „National-theater“ przedstawienie „Tannhäusera“. Podczas wielkiej przerwy wyszedłem na palenisko do palarni, gdzie jeden z

LIST ZE STOLICY

Spotkanie na Starówce

Słoneczne dni i pogodne wieczory sprzyjają wrzesniowemu spacerom warszawskim. W tym „miesiącu“ odbudowy celem przechadzek jest przede wszystkim trakt Starej Warszawy, gdzie znów dzieją się rzeczy wzruszające miłośników stolicy. A że takich żyje w samym mieście bez mała milion, a w całym kraju blisko 27 milionów — nie dziw więc, że na trakcie zawsze sporo ludzi tujejszych i przyjezdnych, którzy to zadzierają głowy do góry, to zaglądają na podwórza, to znów z miną znawców opukują stare sklepienia.

Coraz mniej rusztowań

Do końca miesiąca budowlani Starówki obiecali przekazać drugą część traktu Starej Warszawy. Już dziś widać, że słowa dotrzymają. Na Nowomiejskiej niemal wszystko gotowe. Podobnie na Freta. Gdzieś tam gdzie widnieją jeszcze co prawda ostrzegawcze tablice „przechodząc obok rusztowań, zachować ostrożność“, ale same ru-

sztowania już zniknęły. Tylko nieuporządkowane zaplecza domów, kontrastujące z czystością elewacji oraz widoczne dość często przez okna gołe ściany wnetrz — świadczą, że tu właśnie dopiero co zakończono prace. Inaczej jest na Zakroczymskiej, gdzie jeszcze panuje bałagan. Kurz unosi się tumanami. Trudno przecisnąć się środkiem ulicy między wozami, by właśnie nie trafić pod rusztowania. Ale i tu robotnicy bliscy są mety. Na Wąskim i Szerokim Dunaju trwają prace wykończeniowe, na Piwnej znów generalne porządki.

Nowe Miasto, podobnie jak Stare Miasto, technie odmiennieścią dawnych czasów. Ale inny tu styl zabudowy niż na Starym Mieście. Dominuje wiek XVIII. Domy dość szerokie, tylko rzadko zdobione polichromią. Często przyciąga wzrok rzeźba umieszczona we wnęce, czy wazon wniesiony na szczyt. Budynki zrekonstruowane są częściowo według wzorów historycznych, częściowo zaprojektowane na nowo, oczywiście z zachowaniem właściwego stylu. Według autentycznych wzorów na przykład odbudowano pałac Mokronowskich i pałac Sapieżyńskich.

Bardzo pięknie zrekonstruowany też został dom przy Freta 16, w którym urodziła się Maria Curie-Skłodowska. W

tymże domu, a raczej pod jego ruinami, zginął w czasie powstania bohaterski sztab A.L. Obecnie będzie się tu mieścić muzeum poświęcone wielkiej uczoniej.

Barbakan

Cudny stąd widok na starą ulicę Freta rozszerza się w kierunku Barbakanu. Wśród wąskich starodawnych ulic wygląda ona jak plac. Ma to swoje historyczne uzasadnienie. Gdy ongiś kupcy i chłopcy okoliczni zjeżdżali do miasta, a bramy Barbakanu były już zawarte, właśnie dzięki szerokości Freta mieli gdzie rozłożyć się obozowiskiem.

Barbakan, ten niedawno odkryty zabytek starej Warszawy, przyciąga szczególną uwagę. Dodaje patyny obrazowi Starówki, wzbogaca ją nowym urokiem. Na murze baszty wyraźnie zarysowuje się ślad — granica między XVI-wiecznymi cegłami, a dziś dobudowaną częścią. Most ten jest autentyczny. W okna strzelnicze ciekawie wciskają głowy najmłodsi obywatele Warszawy. Gwoli prawdy dodajmy zresztą, że czynią to chętnie i starsi zwiędzający. Na starożytnych murach kwatruje młoda brać akademicka — adepci architektury. Upodobał sobie ten zakątek, dobrze tu rysować.

Szlachejura i krótkie spodenki

Przyszły budowniczy — dziś demonstrujący opalone na Jeziorach Mazurskich nogi — zapamiętałe pokrywa coraz nowymi szkieletami swój blok rysunkowy. Widać i Barbakan, i szlachtę brzuchatą, i jakoweś białogłowy w zawojach, a gdzieś z boku stoi młody człowiek w króciutkich spodenkach, takusienkach, jakie właśnie nosi autor rysunku.

„Chciałbym pokazać, jakie zdziwienie wśród tej szlachty i mieszczaństwa XVI-wiecznych wywołałoby moje ukazanie się przed czterema wiekami w dzisiejszym stroju“ — zwierza się. Sensacja w Barbakanie zapewne byłaby istotnie wielka. Przyszłemu architektowi nie brak fantazji. Stojący obok niego



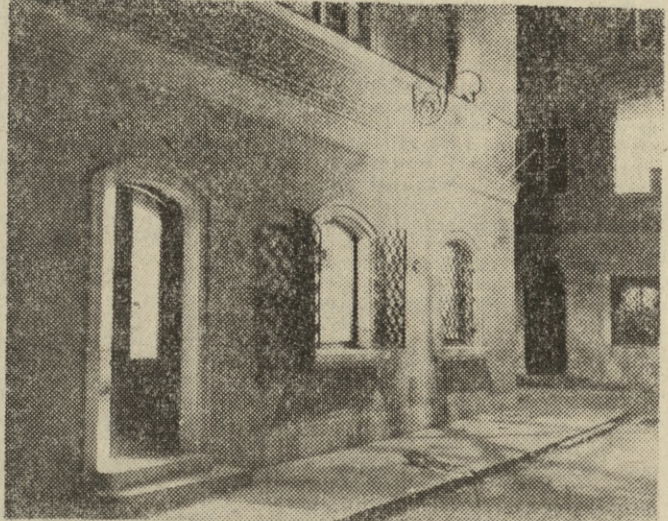
Fragment odbudowanej ulicy Piwnej na Starym Mieście. Fot. CAF

(oczywiście na rysunku) szlachciura ma wyraźnie zgorzchny wyraz twarzy, oblicze innego wyraża znów zdziwienie. Autor szkicu nie jest na razie w pełni zadowolony ze swego dzieła. „Muszę jeszcze dobrze przestudiować stroje XVI-wieczne, żeby nie popełnić gaffy“ — mówi.

Mówią cudzoziemscy studenci

A oto zatrzymuje się przy młodym rysowniku dwóch mężczyzn rozmawiających w obcym języku. Mieszkanina rosyjsko-francusko-niemieckich słów. Studenci „dogadują“ się z cudzoziemcami. Okazuje się że to architekt węgierscy, wykładowcy budapeszteńskiej politechniki. Ze szczerym uznaniem oglądają rysunki i akwarele polskich studentów. Z jeszcze większym podziwem mówią potem dziennikarzowi o odbudowie Warszawy. „Jeden wielki plac budowy“ — stwierdzają. Nie brzmi to w ich uszach jak slogan. Widać życzliwy, przyjacielski podziw. W ciągu kilku godzin na Starówce zarysowali masę kartek w swych szkicownikach i zużyli cztery rolki filmowe. Narzekają, że w ciągu dwutygodniowej wycieczki po Polsce (są dopiero drugi dzień u nas) — jeśli wszędzie będą spotykali się z tak ciekawym materiałem jak na Starówce — to zamęczą ich samo notowanie.

Miło jest słyszeć takie słowa. FRANCISZEK DEKERT



Stare Miasto w nocy. CAF — fot. Tymiński

Kolorowy festiwal

Frontony naszych kin zostały odświeżone przyozdobione, kasy sprzedają specjalne karty premiowane, szkoły i zakłady pracy organizują wybieczki i dyskusje — słowem rozpoczął się doroczny festiwal filmów radzieckich. Jedną z najbardziej masowych imprez Międzynarodowego Przeglądu Polsko-Radzieckiego.

Jest to już siódmy z kolei festiwal. Prezentując widzowi — podobnie jak poprzednie — ostatni dorobek kinematografii Związku Radzieckiego, jest on równocześnie przeglądem nowych wartości, o które rokrocznie wzbogaca się radziecka sztuka filmowa. I tym samym pozwala dostrzec drogę jej rozwoju.

Co widzimy nowego w tegorocznym festiwalu?

Ci, którzy interesują się filmem, wiedzą, że w Związku Radzieckim, toczyła się niedawno wielka dyskusja na temat dramaturgii. W ogniu tej dyskusji, w wyniku szczerej krytyki, filmowcy radzieccy przezwyciężyli kryzys scenariopisarski i przystąpili do walki o wzbogacenie tematyki i rozszerzenie formy. Do kręcenia nowych filmów wciągnięto młodych scenarzystów i reżyserów. Słowem — kinematografia radziecka ruszyła do ataku na nowe problemy i nowe rodzaje filmów — oczywiście nie umniejszając starań o ich coraz wyższy poziom ideowo-artystyczny.

Dodajmy, że znaczne rozbudowanie i unowocześnienie wytwórni i bazy technicznej pozwoliło na zwiększenie produkcji i pełniejsze stosowanie zdobyczy nowoczesnej techniki. Dowodem tego jest choćby fakt, iż wszystkie filmy tegorocznego festiwalu nakręcone zostały w barwach naturalnych.

Dwa zwłaszcza filmy wybijają się na czołowe miejsce w programie VII festiwalu. Są nimi: historyczny SKANDERBEG i pogodna komedia DYGNITARZ NA TRATWIE. Oba te filmy odniosły wielki sukces na ostatnich festiwalach międzynarodowych: pierwszy otrzymał jedną z głównych nagród w Cannes we Francji, drugi — podzielił Grand Prix festiwalu w Karlovyh Varach z doskonałym filmem „Sól ziemi” (dzieło postępowych twórców amerykańskich).

Kto to był Skanderbeg i jak powstał ten ciekawy film?

W latach, oddalonych o pięć niemal stuleci od chwili obecnej, potężne wojska tureckie ciągle napadły na niekiedy wielki kraj albański. Wśród zakładników przywiezionych z jednej ze zwycięskich wypraw, znalazł się Georg Kastriot. Odwaga i wielkie talenty wojskowe młodego zakładnika podobaly się sułtanowi. Tam właśnie Georg otrzymuje imię Wielkiego Skanderbega, a w latach późniejszych, po ucieczce z niewoli, kiedy staje na czele ludu albańskiego walczącego przeciw najazdom — imię to staje się znane szeroko, jest opiewane w pieśniach ludowych, w poezji, w literaturze. Skanderbeg stał się dla Albańczyków bohaterem narodowym.

Młodym, niedoświadczonym filmowcom albańskim w realizowaniu filmowego dzieła o Skanderbegu pomógł filmowcy radzieccy: scenarzysta M. Papawa i reżyser S. Jutkiewicz. Realizację poprzedziły gruntowne studia materiałów historycznych z życia i kultury narodu albańskiego.

Skanderbeg, owoc braterskiej współpracy, przypomina w formie eposu, legendę ludową. W szerokiej, z rozmachem kreślonych szkicach pokazano niemal całe życie Skanderbega, rezygnując zasadniczo z pogłębienia psychologicznego postaci. Imponująco wypadły sceny batalistyczne. Także praca operatora Andrikanisa wywołała w Cannes powszechny zachwyt. Każda scena, każde niemal zdjęcie ma wartość dojrzałego dzieła plastycznego.

DYGNITARZ NA TRATWIE należy do filmów najnowszych w radzieckiej kinematografii. Jego twórcy: scenarzyści A. Galicz i K. Isajew oraz reżyser Michał Kałatozow nie ukrywają, że przed przystąpieniem do produkcji „Dygnitarza” przysięgli imi zważać niejedną nieuzasadnioną opór i krytykę. „Temat filmu jest niepoważny” — zarzucał niektórzy krytycy. Osądźcie sami: trzech przyjaciół wybiera się na wy-

Janusz Biniek

cieczkę tratwa. O tym marzyli od młodych lat. Cóż — kiedy jeden z nich, architekt Niestrawski, stał się ponurym dygnitarzem — stąd zabawne nieporozumienia i kłopoty. Temat niepoważny? Nieprawda — „Dygnitarz” jest doskonałą komedią, lekką, pogodną — taką właśnie, na jaką czekały miliony widzów, taką, jakich filmowcy radzieccy chcą i będą kreślić coraz więcej.

A oto dalsze filmy kolorowego festiwalu:

KROLOWA BALU nakręcona została na podstawie noweli Czechowa. Film przenosi widza w lata carskiej Rosji, w świat usłużnych urzędników, głupawych księżąt i biednych zjadaczy chleba, zagubionych w nieprzychylnym świecie. Wspaniałe postacie dawnej Rosji, które zaludniają karty noweli Czechowa, odżyły na ekranie, w uroczą Anią (A. Laktionowa) w roli tytułowej.

PŁOMIENNE SERCA to film o młodości, która hartowała się w ogniu rewolucji.

Jest on dziełem młodych filmowców W. Basina i M. Korczagina i powstał na podstawie powieści znanego — zwłaszcza młodzieży — pisarza radzieckiego Al. Gajdara. Bohaterem filmu jest młody gimnazjalista, który staje się dzielnym żołnierzem.

W PEWNEJ RODZINIE jest ciekawą próbą pogłębionego psychologicznego spojrzenia na losy jednostki w radzieckim społeczeństwie. Akcja filmu rozgrywa się współcześnie, jego bohaterka jest młodą kobietą porzuconą przez męża — małego, chwiejnego człowieka.

PROMIENIE ŚMIERCI reprezentuje gatunek filmu sensacyjnego. O doniosły wynalazek uczono, który w zbrodniczych rękach może stać się środkiem zagłady milionów ludzi — toczy się zaciekła walka. Film odznacza się wartką, sensacyjną akcją, trzymającą widza w ustawicznym napięciu.

O filmach dokumentalnych, oświatowych i przeznaczonych dla najmłodszego widza — napiszemy oddzielnie.



Scena z filmu sensacyjnego „Promienie śmierci”.



Scena z filmu „Dygnitarz na tratwie”

Listy w sprawach kultury

Termin konkursu — trochę za krótki

Nie wiem, kto powinien o tym zdecydować. Wydział czy Komisja Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej? Czy może literackie jury? Najpewniej wszystkie te instytucje razem. (Choć — jak można wywnioskować z pogłoszek obiegających kluby Poznania — skład jury nie został jeszcze ustalony i jest podobno z tym trochę kłopotu.)

Chodzi mi o konkurs artystyczny na utwór literacki, plastyczny i muzyczny rozpisany (konkurs — nie utwór) przez Wydział Kultury PWRN w Poznaniu. Ścisłej o... ale o tym potem.

Nie jeden z podobnych konkursów wzbogacił naszą twórczość w okresie dziesięciolecia i niejednemu młodzi pisarze, muzycy i plastycy zawdzięczają udany debiut. Inicjatywa więc wojewódzkich władz kulturalnych jest pochwałą godną.

Tak też potraktowana została przez środowisko twórcze naszego miasta, a niewątpliwie i przez szeroki ogół ludzi pracy, którzy oczekują od twórców wartościowych powieści, opowiadań, sztuk, reportaży, obrazów, rzeźb i melodii, oddających piękno regionu, jego tradycje, jego przemiany, tradycje i przemiany jego mieszkańców.

Czy można zaspokoić te oczekiwania? Czy w dziełach, w klimacie społecznym i politycz-

nym, w folklorze Wielkopolski znajdzie się dosyć przeżyć artystycznych, które by dały tworzywo na dobrą prozę, poemat, na zbiorek pieśni, oryginalną kantatę, na zgrabne płótno lub tekę celnej grafiki?

Pytania zupełnie niepotrzebne!

Z tego tworzywa, które daje chociażby powojenne życie naszej wielkopolskiej krainy, można nie tylko skromne opowiadanko, nie tylko masową pieśń na cztery głosy, ale nawet wielką epikę, nawet wspaniałą symfonię wykreślić.

W sprawach „symfonicznych” oraz „staługowych” — przynajmniej nie jestem dokładnie poinformowany. Wiem za to dobrze od literatów i dziennikarzy, że kilku z nich przysięgło na konkurs dłuższe utwory epickie. Nie wiem jednakże (i oni też nie wiedzą), jak dadzą sobie radę z czasem.

Bo literaci i dziennikarze pod względem terminu składania prac są nieco upośledzeni. Plastycy mają czas do 15 grudnia, muzycy do 30 listopada, pisarze tylko do 30 października.

W dyskusjach wśród literatów i dziennikarzy problem

ten znajduje niepoślednie miejsce. Powtarza się pytanie:

Czy nie dałoby się terminu przewidzieć, przedłużyć go chociaż o miesiąc? Wyznaczono nawet kilkakrotnie i w kilku grupach konkretną datę: 10 GRUDNIA 1954 ROKU.

Pomyślałem więc sobie, Obywatelu Redaktorze, że można za pośrednictwem Waszego pisma postawić ten termin publicznie. Decyzja, jeśli by była pomyślna dla zainteresowanych, nie powinna chyba sprawić specjalnych trudności jury konkursowemu. Wyobrażam sobie (takie też przekonanie panuje w środowisku piszących), że ogłoszenie wyników konkursu przypadnie — byłoby to godne uświetnienia tej uroczystości — w dziesiątą rocznicę wyzwolenia ziemi wielkopolskiej, a więc w lutym 1955 roku. Do tego czasu jury będzie miało dosyć czasu na przeczytanie i sumienną ocenę nadesłanych utworów, które na pewno będą posiadały lepsze opracowanie artystyczne. Miesiąc dla twórcy, to bardzo dużo.

karp

Niemieckie dyskusje

(Dokończenie ze str. 1)

wymienić Karola Reinholda Döderlina, który przed dwoma laty przeniósł się z Monachium.

Nie można się więc dziwić, że różnice w pojmowaniu świata i sztuki, które w Weimarze przeważnie tylko pośrednio dochodziły do głosu, tu wystąpiły zupełnie jawnie, chwilami jaskrawo. Debatowano zawzięcie na tematy warsztatowo-formalne, moralno-psychologiczne, etyczno-filozoficzne i po prostu polityczne.

Ale ponieważ wszyscy obecni — i to należy silnie podkreślić — byli w widocznym sposób ożywieni głęboką troską o przyszłość i pokojowy rozwój Niemiec i niemieckiej literatury, ponieważ chodziło im w końcu zawsze o szczescie i godność człowieka, rosło wśród zebranych z każdym dniem poczucie wspólnoty i wspólnej odpowiedzialności. Miejsce tego, co dzieli, zajmowało to, co łączy.

Najpiękniejszy wyraz fakt ten znalazł w doskonałym, przez wszystkich bez wyjątku gorąco oklaskiwanym przemówieniu, które trzeciego dnia wygłosił Leo Weismantel. Mówiąc w sposób niezwykle sugestywny i bezpośredni o swojej własnej drodze pisarskiej, i przeszedłszy potem do tematu „Prawda w literaturze”, Weismantel ze stanowiska katolickiego humanisty i moralisty wzywał do przezwyciężenia „babilońskiego pomieszania języków”, które spowodowało, że takie słowo jak „wino” co innego oznacza na Wschodzie a co innego na Zachodzie. Podobnie „prawda”. A przecież prawda jest tylko jedna — ta, która służy człowiekowi, a przeciw literaturze, rzeczywistej literaturze, może być tylko jedna — ta, która służy prawdzie. Prawdą zaś jest, że trzeba nam pokoju. Musimy pozwolić upaść temu, co upada, musimy twórczo wspomóc to, co nowe i razem je kształtować. Ale nie ma wspól-

negu działania, bez uprzedniego porozumienia się, bez znalezienia wspólnego języka. Dlatego najbardziej zgubne jest milczenie.

Milczenie to zostało na Wartburgu przełamane, śmiało i otwarcie. „Vom Brückenschlag des Wortes”, „O słowie, które łączy” — takie było hasło i wezwanie, widniejące na zjazdowych zaproszeniach, na sali obrad. I słowo to zostało znalezione. W jego duchu powstała końcowa, jednomyślnie przyjęta deklaracja, piękne świadectwo humanizmu i patriotycznej postawy niemieckich pisarzy.

Widok z Wartburg

Ostatniego dnia mego pobytu na Wartburg stałem po obiedzie opodal zwodzonego mostu, prowadzącego do zamku i razem z pewną młodą pisarką niemiecką spoglądałem w dół, na wzgórze i lasy Turynii, objęte dalekim, słonecznym horyzontem. „Nie dziwię się — powiedziałem — że Goethe w liście do Charlotty von Stein bolał nad tym, iż nie może jej przekazać w słowach całego piękna rozciągającego się doła”. „Tak, tu rzeczywiście pięknie...” — szepnęła moja towarzysząca. Po chwili zaś z ożywieniem dodała: „Wie pan, Wartburg to w ogóle specjalne miejsce dla nas Niemców, miejsce symboliczne. Tu 750 lat temu Wolfram von Eschenbach i Walther von der Vogelweide śpiewali dla całego narodu, tu potem Marcin Luther stworzył nasz ogólnoniemiecki język literacki, tu w roku 1817, podczas wielkiej manifestacji studentów domagano się jednności i demokratycznego rozwoju ojczyzny. To dobrze, że właśnie na tej górze, w tym zamku, zebrał się teraz, może gdzieś indziej nie byłibyśmy z równym powodzeniem znaleźli owego słowa, które łączy.”

EGON NAGANOWSKI

Wojskowa okupacja amerykańskiego miasta

Skandale w Phoenix-City — stolicy gangsterów Alabamy

O zmierzchu z różnych krańców miasta wtargnęli do niego kolumny ciemnozielonych ciężarówek wojskowych. Oddziały zmotoryzowanej piechoty szybko otoczyły gmach rady miejskiej, sądu i komisariatu policji. Przedstawiciele władz miejskich i policji rozbrojono. Policjantom zabrano nawet palki gumowe i kajdanki. Anulowano wszelkie zezwolenia na posiadanie broni; mieszkańcy zaczęli ją gremialnie oddawać. Wkrótce powstały całe góry automatów, rewolwerów, karabinów; oddano nawet jeden karabin maszynowy. Pełnię władzy ujął w swe ręce dowódca formacji wojskowej, która okupowała Phoenix-City. W mieście wprowadzono stan oblężenia.

Co było powodem całej tej historii?

ZIEMIA OBIECANA... ALE DLA KOGO?

Zacznijmy od samego początku. Otóż Phoenix-City, którego ludność wynosi niewiele ponad 20 tysięcy, od dawna już cieszy się sławą ziemi obiecanej dla gangsterów, fałszerzy pieniędzy, łapowników, właścicieli domów gry i domów publicznych.

Cała ludność miasta jest uzbrojona po zęby. Część mieszkańców używa jej dla dokonywania przez różnych wyznawców gangsterskich, a druga — dla samoobrony przed gangsterami. Strzały rewolwerowe na ulicach Phoenix-City są równie częste, jak syreny samochodów. Na porządku dziennym są tu zbrojne starcia między konkurującymi z sobą zającami gangsterów, albo też między gangsterami i policją, która właściwie jest również jedną z band gangsterskich.

Mieszkańcy tego „uroczego”

zakątka tak już przywykli do tych zbrojnych awantur, że nawet nie zareagowali na pojawienie się oddziałów zmotoryzowanej piechoty. Sądzi, że są to przebrani gangsterzy, którzy przywdziali mundury wojskowe, aby dokonać porachunków z władzami miejskimi.

„ŻELAZNA MIOTŁA” MR. A. PATTERSONA.

Władze stanu Alabama od dawna patrzyły przez palce na wszystko, co działo się w Phoenix-City. Były po temu nader ważne przyczyny. Przecież 20 milionów dolarów dochodu rocznego, które według oficjalnych danych dawała „organizowana przestępczość” w Phoenix-City — to u „byle co! Dolary to były bazą „układu dzentelmeńskiego” między władzami i gangsterami. Jednakże nadeszła chwila, kiedy trzeba było naruszyć ten „układ”. Przyczyną było zabójstwo adwokata — Alberta Pattersona, który nieopatrznie wysunął swą kandydaturę na stanowisko generalnego prokuratora stanu Alabama. Po tym pierwszym, nieprzemyślanym kroku, popełnił drugi, który okazał się dla niego wręcz fatalny. Patterson oświadczył mianowicie, że „wymiecie wszystkich przestępców żelazną miotłą” i zapowiedział, że rozpocznie tę wielką kampanię od swego rodzinnego miasta Phoenix-City.

W 24 godziny po tym wystąpieniu, znaleziono zwłoki Pattersona w jego własnym samochodzie. Jak pisała nie bez złośliwości miejscowa prasa, „kampania przeciw przestępczości zakończyła się, zanim jeszcze została rozpoczęta”.

Morderca, czy też mordercy

nie zostali — rzecz jasna — wykryci. Wydawało się, że „kampania przeciw przestępczości” spaliła całkowicie na panowie.

GUBERNATOR INTERWENIUJE

Ale stało się inaczej. Wiele o zabójstwie Pattersona, które było dla miejscowej prasy kolejną sensacją kryminalną, wybiegła daleko poza granice Phoenix-City, a nawet stanu Alabama. Aby zapobiec ujawnieniu niektórych drażliwych szczegółów „układu dzentelmeńskiego”, gubernator stanu Alabama, niejaki Gordon Pearsons, wysyłał ekspedycje wojskową, polecając jej „położyć kres bezprawiu, terrorowi i nieporządkom, które ogarnęły ten rejon”.

Czy coś się zmieniło dzięki tej „ekspedycji”? Tyle co nie. Tak, jak dawniej zapalała się tu o zmroku neonowe reklamy jaskółki gry i domów publicznych, a mieszkańcy miasta nadal wymieniali — wraz z powitaniami — strzały rewolwerowe. Wreszcie — tak jak dawniej — płynęły dolary do safesów właścicieli „syndykatów” świata przestępczego. Amerykańska piechota zmotoryzowana uznała, że lepiej będzie skapitulować. Przecież o wiele przyjemniej jest otrzymywać do łapy, aniżeli skierowanie do świątyni pożarowej, jak to się przytrafiło jednemu z organizatorów ekspedycji, kierownikowi wydziału bezpieczeństwa publicznego — Sullivanowi — padł on ofiarą umiejętnie przygotowanej katastrofy samochodowej. Również córka gubernatora Pearsons otrzymała anonim, którego autorz zapowiadała że wkrótce „rozprawia się z nią”. Ano, zobaczmy...

TYLKO 12 SEKUND DRZAŁA ZIEMIA

Ołbrzymie trzęsienie ziemi, które miało miejsce przed kilku dniami w Algierze, nasuwa mimo woli myśl, że ziemia nasza nie jest tak pewnym i niewzruszonym oparciem, jak na ogół się przypuszcza. Prawie każdego roku przynosi nam radio i prasa wiadomości o kataklizmach skorupy ziemskiej, pociągających za sobą tysiące ofiar ludzkich.

Ostatnie trzęsienie ziemi, które dotknęło miasto Orléansville w Algierze (oddalone o około 200 km od miasta Alger), rozpoczęło się o godzinie pierwszej po północy i trwało zaledwie 12 sekund. Jednocześnie szereg sejsmografów na całej kuli ziemskiej zanotowało potężne wstrząsy. Dosłownie w kilkanaście sekund, miasto liczące 32 tys. mieszkańców, legło w gruzach wraz z pobliskimi osiedlami. W katastrofie poniosło śmierć 1460 osób, a liczba rannych wynosi około 6 tysięcy.

Uczni okieśliłi ostatnie trzęsienie ziemi w Algierze jako nadzwyczaj silne, klasyfikując je w stopniu 9 lub 10 ogólnie przyjętej skali. O rozmiarach i natężeniu ruchu powłoki ziemskiej, w czasie ostatniego trzęsienia ziemi świadczy fakt, że stopień dwaście jest najwyższym wskaźnikiem dla tego rodzaju zjawisk przy czym w ostatnim wypadku powoduje ono kompletne zmniejszenie z powierzchni budowli ludzkich, włącznie ze zmianami gleby.

Nauka współczesna wie na ogół bardzo mało o przyczynach powodujących wstrząsy ziemi na jej powierzchni. Przyjmuje się, że objawy te powodują przesunięcia ruchomych złoży we wnętrzu ziemi. Jedne z nich mogą wstępować lub zstępować pionowo, podczas gdy inne przemieszczają się poziomo. Co do głębokości owych wstrząsów ist-

nieją jedynie hipotezy i uczeni skłonni są przypuszczać, że potężne ruchy sięgają do głębokości 720 km wnętrza naszej ziemi. Najmniej tragicznym oczywiście w swych skutkach, są trzęsienia na wielkich głębokościach. W wypadku kataklizmu w Orléansville nauka umiejscowiła główny ośrodek wstrząsów na średniej głębokości w sąsiedztwie złóż granitowych, a więc od 20 do 30 km pod powierzchnią ziemską.

Nasz kraj leży w takich szerokościach geograficznych, gdzie trzęsienia ziemi o katastrofalnych wymiarach zdarzają się niesłychanie rzadko. Oczywiście i u nas wystąpią sporadycznie lekkie wstrząsy i przesunięcia ziemi, lecz są one tak nieznaczne, że jedynie sejsmografy zdolne są je odnotować.

W okresie ostatnich pięćdziesięciu lat trzęsienia ziemi pociągły za sobą ponad 360 tysięcy ofiar śmiertelnych wśród ludzi. Oto kilkanaście najwięcej tragicznych w swych skutkach trzęsień:

- 1902: Saint-Pierre (Martynika): 28 000 ofiar
- 1906: San Francisco: 5 000 ofiar
- 1908: Valparaiso (Chile): 2 500 ofiar
- 1908: Mesyna (Sycylia): 85 000 ofiar
- 1923: Tokio i Jokohama: 145 000 ofiar
- 1923: Neapol: 2 100 ofiar
- 1935: Quetta (Pakistan): 25 000 ofiar
- 1939: Chile: 25 000 ofiar
- 1940: Turcja: 30 000 ofiar
- 1945: Conchucas (Peru): 3 000 ofiar
- 1948: Japonia: 4 000 ofiar
- 1949: Assam (Indie): 1 526 ofiar
- 1949: Ekwador: 2 500 ofiar
- 1951: San Salvador: 2 000 ofiar
- 1953: Tourout (Iran): 556 ofiar
- 1953: Wyspy Jońskie (Grecja): 600 ofiar

Tu i tam

SKÓDEK PRZECIWMÓLOWY. W pewnym angielskim laboratorium odkryto, że tkaniny wełniane, podane działaniu roztworu ponasarczynu sodowego, są niesmaczne i niestrawne dla moli. Przez półgodziną kąpieł w tym roztworze czyste szkiełko wełny ulegają pewnym zmianom, jednak bez uszkodzenia struktury włókna. Nieznaczne koszty zabiegów pozwalają na masowe stosowanie tej nowej procedury antymolowej.

PRZEMYSŁ STOCZNIOWY W CHINACH, nieznaną za czasów kapitalistycznych, zaczyna się obecnie rozwijać coraz lepiej. — Przed paru tygodniami stocznia w Szanghaju wyprodukowała parowiec o wyporności 2.000 ton, a w tych dniach — drugi, na 2.726 ton. Są to, jak na razie — największe statki (do żeglugi rzecznej), zbudowane w Chinach.

SŁON NA TARGU. We włoskim mieście Mestre wędrowny cyrk dla celów reklamowych urządził pochod słoń ulicami miasta. Gdy droga pochodu mijala rynek, gdzie przekupki sprzedawały jarzyny i owoce, słonie zboczyły z drogi, weszły między stragany i spłądowały cały towar, wyjadając wszelkie roślinne smaki. Widać z tego, że słoń jest niebezpieczny — nie tylko w składzie porcelany.

ULTRADZWIĘKOWE LUTOWANIE ALUMINIUM. Dotychczas nie można było lutować z sobą części aluminiowych, gdyż metal ten na wolnym powietrzu powleka się cienką warstwą tlenku glinu, której ciepła cyna — nie „czepia się”. Z tego powodu także cynowanie przedmiotów z glinu było niemożliwe. — Gdy jednak do kąpieli z ciekłej cyny włożył się oscylator, zbudowany z blaszek niklowych, a połączony z generatorem drgań ultradźwiękowych, to ciecz została wprowadzona w drgania, które potrafią zniszczyć warstwekę tlenku na powierzchni przedmiotu aluminiowego. W rezultacie przedmiot aluminiowy pokryje się warstwą cyny. A to pozwala na zlutowanie z drugą podobnie ocynowaną częścią aluminiową (lub też z innego metalu). Przy drobniejszych robotach lutowniczych nie potrzeba oddzielnego cynowania. Kolba połączona z generatorem ultradźwiękowym — przyłożona do miejsca lutowania — niszczy na nim wspomnianą warstwekę tlenku i pozwala na dobre i trwałe lutowanie.

OSIWIŁ W JEDNEJ NOCY we Frankfurcie nad Menem pewien pacjent po silnym wzruszeniu duchowym. Naprzód wystąpił ból głowy, gorączka, wymioty i chwilowa utrata przytomności. Później zaczęły włosy wypadać kępami, a reszta posiadała doszczetnie. Jako przyczynę podają lekarze uszkodzenie centralnego systemu nerwowego.



Poznański racjonalizator na wystawie we Wrocławiu

Przyjemnie jest zwiedzając wystawę wynalazców spotkać jakieś urządzenie, czy wynalazek racjonalizatora z województwa poznańskiego. Stanisław Wozich, pracownik Zakładów Sprzętu Lotniczego i Sportowego nr 3 w Poznaniu jest wielokrotnym racjonalizatorem. Do jego najpoważniejszych osiągnięć trzeba zaliczyć wyciągarkę

lotniczą typu „Zubr” i ściągarkę typu „Ryś”. Oba te urządzenia widzimy na wystawie.

Przypomnijmy sobie historię powstania tych urządzeń. Od czasu kiedy lotnictwo bezsilnikowe przeszło z gór na niziny zaszła potrzeba zastosowania takich urządzeń, przy pomocy których można by wyciągać szybowce na duże wysokości. Brak odpowiedniego sprzętu lotniczego uniemożliwiał masowe szkolenie. Stosowano maszyny zastępcze jak samochody, ciągniki lub liny — które szkolący się chłopcy musieli naciągać. Częstołow sprowadzano potrzebny sprzęt z Czechosłowacji. Liczba lotów wykonanych w ciągu dnia była więc znikomą małą. Dochodziła zaledwie do 50.

Stanisław Wozich długo starał się zbudować wyciągarkę mechaniczną, przy pomocy której ilość lotów w dniu byłaby większa od dotychczasowej. Po długich badaniach udało mu się wresz-

cie zbudować wyciągarkę typu „Zubr”, z silnikiem napędowym SU-2. Przy wyciągarce zastosowano automatyczny hamulec i układacz liny, co przedłużyło jej żywotność. Spadnięcie liny uniemożliwiono przez zastosowanie specjalnego kosza ochronnego.

Wprowadzono ponadto sygnalizację świetlną pomiędzy obsługującym wyciągarkę a szybowcem.

Urządzenie zastosowano na Międzynarodowych Zawodach Szybowcowych w Lesznie. Wzbudziło ono wielkie zainteresowanie. Anglicy robili nawet rysunki, szkice i zdjęcia pragnąc zastosować podobną wyciągarkę u siebie.

Obok wyciągarki Stanisław Wozich opracował projekt ściągarki typu „Ryś”. Jest to maszyna służąca do zwijania liny odczepionej od szybowca. Mały spadochron przeciępiony do końca liny umożliwiał jej powolne opadanie na ziemię. W tym czasie ściągarka nawija ją na bęben. (JZ)

Gdy natura traci umiar

To nie nadczłowiek, to po prostu elektrotechnik, przeciętny Amerykanin, nazwiskiem Max, któremu natura nie poskąpiła wzrostu. Mierzy sobie bowiem 2.55 metra. Ale „w to nam graj” — powiedział sobie w Hollywood i już nakręcano z Maxem film z tytułu „mrocznych krew w żyłach”.

Prawie równocześnie dwaj podróżnicy — naukowcy Francisz Gerin i Szwajcar



Marcel Prêtre natknął się w Gwinei hiszpańskiej na przedziwny, nieznaną dotąd szczep.

Obaj badacze przemierzali ogromne połacie tego kraju na mocnym „jeepie”, który jednak pewnego dnia odmówił posłuszeństwa na zausze. Wśród nieprawdopodobnych trudności i walk z



dziewięć puszcza dotarli do okolicy zamieszkałej przez najmniejszych na świecie ludzi. Ich wzrost nie przekracza 60 centymetrów. Ludzie te karzełki trudnią się polowaniem na najgrubszego nawet zwierza, którego ubijają zastrutymi strzałami z łuków.

Na zdjęciu zacerpnęliśmy z niemieckiego tygodnika widzimy dorosłą kobietę. Ma tylko 58 cm wzrostu.

Ciekawy sposób kuracji „Nocne” sanatoria

W ostatnich latach powstało w Związku Radzieckim wiele sanatoriów nocnych. W sanatoriach tych leczą się i wypoczywają robotnicy i pracownicy zakładów przemysłowych, nie przerywając pracy zawodowej. Spędzają tu oni cały swój wolny czas; przeprowadzają kurację zaleconą przez lekarza i otrzymują od powiednie posiłki dietetyczne. Okres pobytu w sanatorium — w zależności od stanu zdrowia — trwa od 24 dni do 3 miesięcy.

Obecnie w Związku Radzieckim istnieją setki sanatoriów nocnych; same tylko związki zawodowe prowadzą ich ponad 400. W Moskwie założono sanatoria nocne przy 35 fabrykach i wielkich budowlach, w Leningradzie — przy 21. Sanatoria nocne istnieją też przy wielu przedsiębiorstwach przemysłu węglowego i naftowego, przemysłu materiałów budowlanych i innych.

Wyspa Jawa bije rekordy Geograficzne rozmieszczenie burz

Burze są jednym z najefekowniejzych zjawisk przyrody. Powstają przy pionowych prądach powietrza w warunkach nasyconych deszczem. Prądy takie rodzą się, gdy powierzchnia ziemi silnie jest nagrzana lub gdy ciepłe powietrze szybko się unosi, zetknie się z powietrzem zimniejszym.

Gdzie najbardziej burzliwie?

Ilość burz zależy od strefy i charakteru miejscowości. Zmniejsza się w miarę oddalania od równoleżnika ku obydwu biegunom. W strefie równoleżnikowej przypada przeciętnie 100 do 150 dni burzliwych rocznie. Zależy to jednak od charakteru danej miejscowości. Tak na przykład w środkowym biegu Amazonki w Południowej Ameryce daje się zauważyć 30—60 dni z burzami, u ujścia tejże rzeki, gdzie jest większa wilgotność powietrza, roczna ilość dni burzliwych dochodzi do 170. Na wybrzeżu peruwiańskim nie ma prawie burz, ale natomiast w głębi Peru w miejscowościach oddalonych znacznie od morza burze są codziennym zjawiskiem. Powyżej 82° północnej szerokości geograficznej i poniżej 55° szerokości południowej burz nigdy nie bywa.

Głównymi ogniskami burz są: Archipelag Malajski, środkowa Afryka, wschodnia część Środkowej Ameryki i południowy Meksyk.

Na wyspie Jawie jest największa na kuli ziemskiej cyfra dni z burzami w ciągu roku, bo 220. Jest to średnia cyfra dni burzliwych dla tej wyspy, bo w mieście Beitenzorge i okolicy roczna ilość dni z burzami wynosi aż 322. Tylko 43 dni w ciągu roku są nieburzliwe.

Na Jawie w ciągu doby szaleje kilka burz, a w najbardziej burzliwym rejonie wyspy Beitenzorge ilość roczna burz wynosi 1400... Nasilenie ośrodków burz na kuli ziemskiej nie jest stałe.

Dawniej było inaczej

Jak mówią przekazy historyczne ilość burz w Egipcie w XIII wieku była znacznie więk-

sza niż obecnie. Również od przeszło stu lat daje się zauważyć zmniejszenie burz w Abisynii. Burze na płaskich wybrzeżach mórz są rzadsze niż w głębi lądu. Tak na przykład na wybrzeżu bałtyckim w Polsce mamy rocznie przeciętnie do 10 dni z burzami, a już w rejonie Warszawy ilość dni burzliwych dochodzi przeciętnie do 20.

Na kontynencie burze bywają w lecie, gdy pionowy prąd powietrza silniejszy jest na lądzie niż nad morzem, natomiast w Islandii u wybrzeży Norwegii czy Wielkiej Brytanii w pobliżu Golfstromu obserwujemy częste burze zimowe. Burze zimowe w Szwecji oddziałują na klimat Polski. Gdy u nas w Polsce przeważają burze letnie, w zachodniej Europie, w Australii, na Jawie notowane są burze nocne. Czas trwania burzy w Europie wynosi przeciętnie około godziny. W krajach podzwrotnikowych na Archipelagu Malajskim i w górach Kaukazu trwałość burz osiąga 13 godzin na dobę. Krótkotrwałe burze są jednak bardziej naładowane elektrycznością niż długotrwałe. F. H.

Znaczkami przyjaźni

Wiele zawdzięcza nasz polski Związkowi Radzieckiemu. Nie więc dziwnego, że prawie we wszystkich dziedzinach życia znajdujemy pomniki wdzięczności i przyjaźni dla ZSRR. Nie zabrakło ich też i w filatelistyce. Gdybyśmy ze znaczków Polskiej Ludowej wyodrębnili wszystkie znaczki, poświęcone bratnim narodom ZSRR, powstałby wcale obfity zbiorek tematyczny. — Pierwszą rocznicę zwycięstwa nad faszystowskimi Niemcami u pamiętni znaczek 3-złotowy (j. brązowy), przedstawiający żołnierza polskiego i radzieckiego. W serii okolicznościowej z okazji Kongresu Jedności Klasy Robotniczej w roku 1948 ukazał się znaczek przedstawiający popiersia: Marksa, Engelsa, Lenina i

Stalina. Wartość znaczka 15 — zł. kolor: ciemno-fioletowy i niebieski. Miesiąc Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w roku następnym upamiętni 15-złotowy znaczek — przedstawiający dwóch wieszczów bratnich narodów: Puszkina i Mickiewicza, trzymających się za ręce. Z tej samej okazji ukazały się w roku 1951 dwa znaczki za 45 gr (karminowy) i 90 gr (stalowy) z portretem Generalissimusa Józefa Stalina.

XXXV rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej uczcili dwa znaczki za 45+15 gr (ceglasty) i 60 gr (szaro-stalowy) — cięte i ząbkowane, przedstawiające atak na Pałac Zimowy. W X rocznicę wyzwolenia Stalingradu ukazały się dwa dwubarwne znaczki o jednakowym rysunku za 60 i 80 gr, ukazujące zwycięskiego żołnierza radzieckiego z czerwoną sztandarem w ręku. W serii znaczków, wydanych z okazji X rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego, znalazł się znaczek z żołnierzem polskim i radzieckim — symbolizujący braterstwo broni, zawarte pod Lenino. Ukoronowaniem tego zbioru znaczków przyjaźni jest znaczek, wydany w roku ubiegłym z widokiem Pałacu Kultury i Nauki im. J. Stalina w Warszawie (80 gr — karminowy).

J. Eski



TRZY ZEGARY Trzeci chodzi najdokładniej

600-lecie zegara na wieży mostu obchodzone w tym roku w Strassburgu. Zegar ten chodzi bez naprawy nieprzerwanie od roku 1354. Jak z tego należy wnosić, w Strassburgu przed sześciu wiekami nie było brakovarów w przemyśle zegarowym.

Zegar ratuszowy mistrza Hanusa w Pradze, zbudowany w roku 1490, jest swego rodzaju zabytkiem budowlanym starego grodu nad Weltawą. Hanus, inaczej Rose, był profesorem matematyki na Uniwersytecie im. Cesarza Karola w Pradze. Jego zegar ma dwa „cyferblaty”. Jeden pokazuje godzinę, drugi — obroty ciał niebieskich dookoła Ziemi, jako środka świata (zegar powstał jeszcze przed Kopernikiem i jego nauką). Ponad tarczą godzinową podczas bicia pełnych godzin otwierają się dwa okienka, przez

które widać pochod 12 apostołów. Opodal ukazuje się figura bogacza, potrzebującego workiem złota, a po przeciwnej stronie — śmierć z kosą pobrakuje dzwoniem umarłych. Ostatnia wojna uszkodziła stary zegar — jednakże niebawem został on z całym pietyzmem orestaurowany przez artystów w swym fachu, tak że funkcjonuje bez zarzutu, jak za czasów swego twórcy — mistrza Hanusa.

Zegar atomowy został zbudowany niedawno przez radzieckich uczonych w Moskwie. Jego dokładność wynosi jedną milionową część sekundy na dobę. — Chód zegara jest oparty na zjawisku rozpadu atomów, odbywającego się z absolutną dokładnością, podczas gdy astronomiczne zegary wykazują w tym względzie poważniejsze różnice.

Nawet oficjalne koła USA przyznają, że przyjaźń z Li Syn-ma-nem i Czang Kai-szekiem jest dość kłopotliwa.

— Siedzieć na takim krześle nie jest wygodnie. Nawet nogi na stole nie można położyć.



KARTKI Z PAMIĘTNIKA

10. IX.

Wiwat!
Dzisiaj otrzymałem aż dwie radosne nowiny: nominację na profesora uniwersytetu i propozycję od pewnego wydawnictwa, abym napisał monografię. Jutro jadę. Trochę mi żal Moskwy. Wiadomo, że żal (właściwie nie Moskwy, lecz siebie), ale na prowincji są lepsze warunki do samodzielnej pracy naukowej. A — co najważniejsze! — będę miał więcej wolnego czasu. Muszę przyznać, że już jestem zmęczony ciągłymi posiedzeniami, zebraniemi, komisjami... Pracowało się — jak

to mówią! — „w trzeciej połowie doby“.

17. IX.

Oto już jestem na nowym miejscu. Byłem na pierwszym posiedzeniu rady wydziału. Z dziewięciu spraw, będących na porządku dziennym, załatwiłem sześć, trzy — trzeba było odłożyć do zebrania nadzwyczajnego. Okazuje się, że na prowincji jestem już dobrze znany: wybrano mnie na członka komisji dla koordynacji działalności dwóch innych komisji i na członka biura sprawozdawczego. Wysłuchano moją kandydaturę do jeszcze jakiejś tam komisji, ale przewodniczący zdecydował, że jestem człowiekiem nowym, więc należy mnie oszczędzać.

21. IX.

Już czwarty dzień ślęczę nad planem naukowej pracy naszego wydziału na rok następny. Nie mogę — ani rusz! — przebrać przez trzecią rubrykę formularza: „Konkretny sposób zastosowania w praktyce otrzymanych wyników”. Największa bieda — że nie mogę przewidzieć jakie otrzymamy wyniki. Mówiłem o tym z dziekanem. Twierdziłem, że jeżeli wyniki pracy naukowej są znane, to nie ma sensu jej w ogóle rozpoczynać. Przecież zadaniem nauki jest wyjaśnić rzeczy nie znane. Dziekan wysłuchał mnie uważnie i odrzekł:

— Jako naukowiec zgadzam się z panem w zupełności, lecz jako członek senatu — muszę wymagać od pana ścisłego wypełnienia formularza przyslanego „z góry“.

— Ależ „na górze” też siedzą naukowcy! — próbowałem oponować.

— No, dobrze! — zgodził się dziekan. — Wyznaczymy komisję dla opracowania najracjonalniejszej metody wypełniania trzeciej rubryki formularza. Pan będzie przewodniczącym.

— Wobec tego muszę mieć do pomocy dwóch profesorów i trzech docentów! — zagroziłem. Dziekan nie oponował.

10. X.

Dzisiaj byłem na przyjęciu u prorektora, który od razu zwrócił się do mnie z rzeczowym poleceniem:

— Będzie pan musiał stworzyć małą komisję: wysłucha pan kilku wykładów profesora Rowińskiego.

— Dla wymiany spostrzeżeń?

— Jakże tam spostrzeżenia! Wykłady profesora Rowińskiego są fatalne: niezrozumiałe, monotonne, bez doświadczeń, nawet bez demonstracji preparatów.

— A od jak dawna on tak wyklada?

— Jak to — od jak dawna? Przez całe życie. Trzydzieści lat!

— Po co więc stwarzać komisję, jeżeli wszystko wiadomo?

— No, widzi pan bez komisji, to tak nijak... Powiedzą, że nie mamy oficjalnych czynników. Pan jest człowiekiem nowym. Panu nikt nie zarzuci subiektywnego podejścia do sprawy.

Przy pożegnaniu zauważyłem na stole gruby tom w płóciennym oprawie, ze złotymi literami.

— Napisał pan monografię?

— zapytałem.

— Ależ nie, drogi kolego! To jest krótkie sprawozdanie z pracy naukowej.

15. XI.

Na specjalnym zebraniu rady wydziału — rektor oświadczył, że ministerstwo przysłało „z pewnym opóźnieniem” problemowo-adnotacyjny plan i na tej podstawie trzeba koniecznie opracować plan pracy naszego wydziału. Dwugodzinne przemówienie na ten temat, zakończył słowami:

— A więc musimy dogłębnie rozpracować plan pracy wydziału, w aspekcie wyżej wymienionych wytycznych. Całość naszej tematyki musimy nawiązać do już opracowanych problemów.

— A jeżeli coś się nie nawiąże? — zapytał jakiś głos na sali.

— Właśnie w tym celu — wtrącił prorektor — zorganizujemy ogólnozakładową koordynacyjną komisję. Proponuję następujących...

— Nie — przerwał rektor — mamy już i tak za wiele komisji (szmer pochwalny na sali). Osobiście uważam, że należy zorganizować koordynacyjny komitet, któremu będą podlegały komisje wydziałowe i międzywydziałowe.

Ostatecznie zostałem członkiem trzech komitetów-komisji.

25. II.

Teraz rozpoczęła się walka z nadmiarem obowiązków! W ciągu trzech dni rada wydziału

rozpatrywała najdrobniejsze szczegóły tego palącego problemu. Okazało się, że niektórzy profesorowie mają po cztery do pięciu stanowisk naraz, tak że ledwo zdążą we właściwym czasie otrzymywać pobory. Zapadły ważne uchwały. Oparto się na teoretycznych podstawach. Potępiano. Toczyły się zażarte spory. Jako konkretny wynik — postanowiono: zabroń sprawowania kilku funkcji naraz — starszemu laborantowi zakładu biochemii.

3. IV.

Komisja dla badania naukowo-dydaktycznej działalności naszego zakładu zakończyła swoje prace. W mojej opinii napisano, że w ostatnich czasach gorzej przygotowuje się do wykładów, nie rozwijam należytej działalności naukowej i nie interesuję się pracami magistrantów. Bardzo to jest smutne, ale trzeba się z tym pogodzić.

Wzwał mnie rektor. Nasza rozmowa nie miała bynajmniej charakteru przyjacielskiej pogawędki.

Rektor udzielił mi surowej nagany:

— Darzymy pana zaufaniem — mówił — jest pan członkiem wszystkich komisji, a tymczasem dezorganizuje pan prace w zakładzie...

Na razie ograniczył się do tej uwagi bez komentarza. Następnie nacisnął jeden z dzwonek i zapytał wchodzącego sekretarza:

— Czy już została przygotowana nominacja pana profesora na przewodniczącego komisji?..

Jakiej mianowicie komisji — nie dosłyszałem. Po prostu uciekłem.

Tłum. H. P.

na amerykańską
NOTE

KTO POD KIM...

Joseph Nunnan, kierownik urzędu dla spraw związanych z podatkiem dochodowym, cieszył się w Waszyngtonie opinią specja w swoim zawodzie. Nie dziwnego, skoro na jego projekcie oparto reformę podatkową w roku 1952. Jak dobrze wywiązywał się z powierzonych mu obowiązków świadczy fakt, że przywłaszczył sobie z podatku okrągłe 16.000 dolarów. Obecnie na podstawie opracowanych przez niego niedawno podatkowych rygorów karnych, wymierzono mu ...5 lat więzienia.

JESZCZE O EKSPLOATACJI MARSJA

Trzy tegie głowy w stanie Arkansas zawiązały spółkę dla: „...zagospodarowania planety Marsja”. Statut tej niezwyklej spółki przesłany już został do amerykańskiego departamentu stanu, przy czym całe przedsięwzięcie uzasadniono m.in. następującymi celami: rozparcelować całą planetę i przyznać tytuły własności na poszczególnych działkach. Oczywiście, za odpowiednią kwotę dolarów. Za ożycie międzyplanetarnego przedsiębiorstwa nie omieszkali zaznaczyć, że koszty inwestycji na Marsie nie będą zbyt wielkie. Jako argument przytoczyli brak na dalekiej planecie łańcuchów górskich, co umożliwi tanie budowanie autostrad. Również odpadnie problem drenowania gleby i przeprowadzenia kanalizacji, jako że na Marsie nie ma kompletnie wody. Podobno ostatni argument wpłynął na poważne zainteresowanie się daleką planetą ze strony koncernu „Coca-cola“.

Konrad Doberschütz

W pewnym zakładzie...

W pewnym zakładzie rzecz przykra się stała. Gdyż planu załoga nie wykonała.

Nie wykonano. Głupia to rzecz. Więc inne sprawy muszą iść precz.

Więc radzą, radzą, dyrektor zakładu, Kierownik produkcji z aktywną radą. Jakby ratować przykry ten stan, Czyli w przyszłości wykonać plan. Każdy wysuwa projekty i wnioski, A każdy wniosek wyrazem jest troski, Bowiem w produkcji — to każdy przyzna sam, Że najważniejszym jest plan. Gdy wreszcie wspólna wydano instrukcję, Jak zabezpieczyć rytmiki produkcję, Przykra się, przykra rzecz w fabryce stała — Maszyna palce komuś tam urwała.

Wypadek przecież — straszna to rzecz, Więc inne sprawy muszą iść precz.

Więc radzą, radzą, dyrektor zakładu, Kierownik produkcji z aktywną radą. Jakby zapobiec przykrym tym faktom, Czyli wypadkom. Trzeba na kursy wysłać behapowców I do obsługi wciągnąć ZMP-owców. Tudzież rozszerzyć referat BHP. Wydać instrukcje, przepisy itd.... Gdy szczegółowe dano zarządzenie, Nowe się naraz zważyło zmartwienie — Bowiem nazajutrz gazeta pisała, Że się w zakładzie cyna marnowała.

Cóż — marnotrawstwo przykra to rzecz, Więc inne sprawy muszą iść precz.

Więc znów narada, wypisy z instrukcji, Bo marnotrawstwo to wróg jest produkcji... Tak to co miesiąc wciąż „zapobiegano” Aż znowu planu nie wykonano.

— No, a dlaczego? I w czym leży wina? — Tak bywa, gdy się formalnie Jeden problem wciąż załatwia... a o innych: zapomina.

Tajemnica powodzenia

Dwaj przyjaciele, po nocy spędzonej na pijalce, nie poszli do pracy i wygrzewają się na słońcu nad Wartą.

AMERYKA

Do Stanów Zjednoczonych zaproszono wycieczkę studentów austriackich. W jednym z miast studenci urządzili koncert, na którym grano wyłącznie utwór słynnego kompozytora austriackiego Wolfganga Amadeusza Mozarta. Po koncercie zabrał głos jeden z obywateli miasta:

— Jestem szczerze wzruszony i zachwycony waszą muzyką — powiedział. — Nasze miasto jest bardzo wielkim ośrodkiem przemysłowym. Pomimo to jednak śmiem wątpić, czy znalazłoby się w naszym mieście z pięć osób, które potrafiłyby skomponować coś równie pięknego.

— Wiesz, — mówi rozmazonym głosem jeden z nich — wiele bym dał za to, żeby zgłębić tajemnicę powodzenia w tym.

— Hm! — odpowiada na to lakonicznie drugi.

— Jak sądzisz, na czym ta tajemnica może polegać? — rozmyśla dalej głośno pierwszy.

— Nie wiem — mówi znużonym głosem drugi, przewracając się na drugi bok. — Ale obawiam się, że to ma jakiś związek z pracą!



W ZACHODNICH NIEMCZECH

— No i wychodzi pan na wolność, generale. Jakie ma pan nowe plany?

— Ja, oczywiście wrócę do starego!

MIŁOŚNIK SPORTU



...codziennie uprawia gimnastykę.

...w czasie zawodów jest niezwykle aktywny.

...interesuje się wszelkimi wynikami.



...a w sali gimnastycznej swego zakładu urzędują kancelarie.

NEUTRALNOŚĆ

Udzielanie odpowiedzi na pytania dzieci jest dla rodziców najbardziej kłopotliwym zajęciem. Dzieci pytają o najtrudniejsze problemy, które trzeba im wyjaśniać w zrozumiały dla nich i przystępny sposób.

Mały Staś przychodzi do ojca i pyta: — Tatusiu, co to jest neutralność?

Ojciec zastanawia się przez chwilę, jakby to dziecku najprzystępniej wytłumaczyć, a potem mówi:

— Widzisz, synku, trzech ludzi leży w jednym łóżku — dwóch po bokach, a jeden w środku. Wszyscy są nakryci jedną kołdrą. Jeżeli ten z prawej naciągnie na siebie kołdrę, wtedy martnie ten z lewej. Jeżeli kołdrę naciągnie na siebie ten z lewej, wówczas martnie człowiek leżący z prawej.

— A ten, który leży w środku? — pyta Staś.

— Ten jest neutralny! — odpowiada ojciec.

MIK

O pewnym (fraszka)



Przyzwyczajenie dziwne ma takie — Jak barykada, to tylko okrzykiem. W miarę liberal, w miarę romantyk, Wie, kiedy „pro być, a kiedy anty. I robaczkowym ruchem potrafi Omijać wszelkie ryzyka rafy.

Litość w krag wzbudza stworzenie owo Tknięte chorobą (la)wirusową.